

Jadwiga Duszak

**„Gniazdo
Solidarności”**

Jadwiga Duszak

„Gniazdo Solidarności”

Kochanej Gosi - z miłością i
z troską - babcia Jadwiga
9.01.99r.

Elbląg 1999

ro
ta
c
-
M
o
ż
2



W sprawie wyżej

2165
8366
2

Nr. aktu

ŚWIADECTWO METRYCZNE

z odpisów ksiąg Sidrzańskiego rzymsko-katolickiego parafjalnego kościoła.

Roku 1923 miesiąca listopada ochrzczono niemowlę imieniem Jadwiga
urodzonemu oku tysiąc tyście osiemset
dwudziestego trzydziestego listopada dnia 11
matki Władysława Kojkara i Albiny
Zapoluskoj w wsi Siekicie

Nr. 19



Proboszcz Sidrzański.

W. A. F. S. J. W. K.

Sidra, pow. Sokółski, W. ojev. Białostockiego.

Dn. 10 m. maja 1924 r.

*Ojcu Świętemu
Janowi Pawłowi II
najwspanialszemu
z narodu polskiego
z miłością i czcią
dedykuję*

autorka

SPIS TREŚCI:

1. Rozdział I – Czas nadziei	5
2. Rozdział II – Stan wojenny	10
3. Rozdział III – Konspiracja	22
4. Zamiast zakończenia	29
5. Zdjęcia i dokumenty.....	31

ROZDZIAŁ I

„Czas nadziei”

Sierpień 1980 to jedno z najwspanialszych i najradośniejszych wydarzeń w naszej historii. Narodzin „Solidarności” oczekiwaliśmy w niezapomnianym napięciu, ale też w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze. „Solidarność” wraz ze swoim przyjściem na świat wniosła wspaniałą atmosferę: pełną wzajemnej życzliwości, bezinteresowności, ofiarności i odwagi. Przyniosła nadzieję, że naród „Bogiem silny” może bez przelewu krwi i bez użycia przemocy pokonać największe zło XX wieku — reżim komunistyczny.

Cała moja rodzina — wszystkie dzieci: Marek, Nusia, Elżbieta, Mirek i Halina nie miały wątpliwości, że należy włączyć się do tego ruchu i dać z siebie wszystko. Najmłodszy Mirek nie tylko zapisał się do NSZZ „Solidarność”, ale również aktywnie działał w Komitecie Obrony Więzionych Za Przekonania. To dzięki jego inicjatywie 17-go września 1980r. pojawiły się w Elblągu klepsydry przywracające pamięć narodową o napaści Związku Sowieckiego na Polskę. Zrobiono i postawiono brzoźowe krzyże; klepsydry „mówiły”: „Ofiarom Katynia i innych miejsc zbrodni nieludzkich rządów”. 11-go Listopada zorganizowano w Szkole Muzycznej uroczystą akademię poświęconą rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

Marek — najstarszy z moich dzieci — rozpoczął współpracę z Biuletynem Regionu Elbląskiego NSZZ „S”. Opublikował w nim m.in. artykuł: „Ukręcić łeb nomenklaturze”. Po wyjściu z więzienia w Iławie twierdził, że to właśnie za ten artykuł funkcjonariusze SB uznali go za groźnego dla istnienia PRL i już w nocy z 12-go na 13-go XII 1981 r. internowali.

Córki też zapisały się do NSZZ „S” — najaktywniejsza była Elżbieta. Już w czasie wydarzeń sierpniowych 1980r. na znak solidarności ze strajkującymi robotnikami, wywiesiła na zewnątrz budynku Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej biało-czerwoną flagę. Ówczesne kierownictwo biblioteki zwołało nadzwyczajne zebranie pracowników, na którym w iście stalinowskiej formie potępiono „sprawców” oflagowania instytucji. Elżbieta nie zraziła się tym incydentem. Weszła w skład Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”, a następnie została wybrana do Komisji Zakładowej oraz ogólnopolskiej zrzeszającej pracowników bibliotek w „Solidarności”.

Cieszyłam się, jak nigdy dotąd, płomienną i zgodną współpracą moich dzieci. Wierzyliśmy, że to zasługa Ojca św., który w czasie swojej pierwszej pielgrzymki do ojczyzny w 1979 roku spowodował ten fantastyczny „cuć nad Wisłą”. Byliśmy przekonani, że nasze marzenia o niepodległej Polsce wkrótce się spełnią.

Życie codzienne w tamtym okresie nastęczało wielu kłopotów. Brakowało w sklepach podstawowych towarów: papieru toaletowego, mydła, szamponu, cukru, mięsa, wędliny, kawy, herbaty, papierosów, słodyczy, nawet butów. Władze PRL uznały, że reglamentacja może stanowić lekarstwo na braki w sklepach i wprowadziły kartki. Prawdy, szczególnie historycznej, ale także tej o naszej aktualnej rzeczywistości też brakowało.

Pomimo tego przeżywalimy okres prawdziwej euforii — tak się czuje człowiek uczciwy i sprawiedliwy, który wie, że prawda odnosi triumf. Znając życie obawiałam się jednak, że za ten okres szczęścia przyjdzie nam słono zapłacić.

Już w marcu 1981 roku trafiłam do szpitala na niegroźny, zdawałoby się, zabieg usunięcia wyrostka robaczkowego. W szpitalu spędziłam ponad dwa miesiące ponieważ wdała się gangrena. Rodzina była przy mnie. Codziennie któreś z dzieci przybiegało, żeby mnie nakarmić i towarzyszyć w tym smutnym i ponurym miejscu. Elżbieta zdawała mi szczegółowe relacje z wydarzeń w kraju. Po wypadkach w Bydgoszczy (marzec 1981) mówiła, że biblioteka też przyłączyła się do pogotowia strajkowego. Przygotowywała mnie na ewentualność strajku generalnego.

— „Mamo” — mówiła — „nie martw się jak nie przyjdę któregoś dnia. Cała Polska przystąpi do tego protestu — ja będę ze wszystkimi.”

Po kolejnej operacji oraz intensywnej kuracji antybiotykami czułam się już nieco lepiej więc zachęcałam ją do wytrwałości. Do szpitala zabrałam różaniec. Modlitwa i komunie św. pomagały mi przetrwać ten bolesny okres.

Do strajku generalnego jednak nie doszło. W końcu wypisano mnie ze szpitala. Rana pooperacyjna jeszcze się nie zagoiła, ale mogłam już się leczyć ambulatoryjnie. Do pracy już nie wróciłam. Wprawdzie jeden z elbląskich chirurgów usiłował mi przerwać zwolnienie lekarskie, pomógł mi wówczas lekarz zakładowy Wiktor Daszkiewicz. Przyznano mi rentę.

Przedtem było piękne lato. Pogoda i przyroda stanowiły właściwą dekorację do uroczystości związanych z pierwszą rocznicą sierpnia. Tysiące elblązan wzięło w nich udział — odsłonięto pomnik Ofiar Grudnia 1970. To utwierdziło nas w przekonaniu, że Polska musi zrzucić z siebie jarzmo komunizmu.

Jednocześnie cieszyłam się szczęściem rodzinnym. Żyliśmy skromnie, ale byliśmy razem — żywi i cali. Joasia — moja wnusia skończyła w sierpniu dwa latka. Dawała mi takie poczucie szczęścia jakie daje tylko dorosłemu człowiekowi malutkie dziecko. Halina — mama Asi wróciła do pracy w Spółdzielni Mieszkaniowej „Zakrzewo” — licząc na wcześniejsze otrzymanie kluczy do własnego mieszkania.

Dzieci Marka: Małgosia i Adaś również świetnie się rozwijały. Aura nadal dopisywała. Paprzęca się od kilku miesięcy rana powoli się zablizniała. Kończyło się lato 1981 roku. Kolejki w sklepach powiększały się dramatycznie. Za wszystkim trzeba było stać godzinami. Do sklepów, w kolejki, chodziliśmy na zmianę z mężem. Franciszek od 1976 roku był na emeryturze. Miał więcej czasu, żeby poświęcić jego część na stanie w kolejkach. Oprócz czasu trzeba było mieć również wprawę i kon-

dycję. Dzieci pracowały zawodowo i trudno im było to pogodzić z wielogodzinnym stanieniem w kolejkach. Elżbieta zresztą zupełnie się do tego nie nadawała. Wróciła kiedyś ze sklepu w szoku. Po pracy stanęła w kilometrowej kolejce „za słodyczami” gotowa odstać swoje i kupić nieco upragnionych łakoci. W tym samym czasie, do stoiska obok, „rzucono” wódkę, w delikatesach zakotłowało się niewyobrażalnie. Kolejkowicze „polujący” dniami na wódkę napaarli z impetem. Sprzedawczynie w obawie, że zostaną zmiażdżone przez ogromne i ciężkie lady, zapierały się nogami i plecami, żeby do tego nie dopuścić. Tłum reagował jakby zdobywał wrogą barykadę. Kolejka do stoiska ze słodyczami, dotąd spokojna i sprawnie przesuwająca się do celu, została zaatakowana przez mężczyzn usiłujących przedrzeć się z drugiej strony do upragnionego trunku. Droga odwrotu została odcięta. Spowodowało to histeryczne i niekontrolowane odruchy skłębionych ludzi. Można było jedynie poruszać się wraz z wszystkimi w kierunku lady, to dawało możliwość dotarcia do drzwi wejściowych. Elżbieta wydostała się ze sklepu niecałkiem przytomna. Po powrocie do domu postowała na komunistów niczym furman. Rozumiałam ją doskonale. Komuniści mieli wszak swoje sklepy i bufety, a naród zepchnęli do tak poniżających sytuacji. Żyjemy wszak w Środkowej Europie, u schyłku XX wieku, a zabijamy się w kolejkach po paczkę pierniczków czy butelkę wódki. Naszą kolejkową rzeczywistość najlepiej oddał w swoich książkach Tadeusz Konwicki. Życie w ustroju, gdzie od rolki papieru toaletowego po odkurzacz czy lodówkę trzeba było stoczyć walkę jak pod Monte Cassino napełniało nas gniewem, frustrowało. Najgorsze było jednak to, wszędzie, a szczególnie w życiu publicznym posługiwano się kłamstwem i manipulacją.

Mirek uważał, że Polacy muszą się zorganizować nie tylko w nowe związki zawodowe, chociaż NSZZ „S” to było coś znacznie więcej od typowej organizacji pracowniczej. Uważał on jednak, że należy wywalczyć możliwość zrzeszania się narodu w niezależne od komunistów partie polityczne. Jeździł na wszystkie możliwe spotkania Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Kupował, gromadził i kolportował niezależną literaturę. Był pod wrażeniem tez zawartych w książce Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji”. Elżbieta zabierała tę pozycję ze sobą do pracy, gdzie wspólnie z Wiesią Bąk przepisywały ją na maszynie. Robiły to w całkowitej konspiracji, za propagowanie takiej literatury groziły bowiem największe represje.

Bałam się o los moich dzieci. Były wprawdzie dorosłe: Mirek miał 24 lata, Elżbieta — 27, Halina — 28, Nusia — 31, a najstarszy Marek — 33 lata. Serce matki nie zna jednak pojęcia czasu. Bałam się więc o swoje dzieci, a jeszcze bardziej bałam się komunistów mój mąż. Poznał ich metody „wychowawcze” na własnej skórze. Jeszcze w okresie bierutowskim trafił do więzienia za tzw. czynną napaść na funkcjonariusza MO. Prawda była zaś taka, że wraz z kolegami w restauracji, gdzieś przy ul. Grunwaldzkiej wypili parę głębszych i śpiewali żołnierskie pieśni m. in. „Czerwone maki pod Monte Cassino”, co było wówczas zabronione. Koledzy wcześniej zorientowali się w sytuacji, ktoś wezwał milicję, i uciekli. Franek został przy stoliku i naraził się na aresztowanie. Miał więc powód, żeby bać się tych polskojęzycznych dwunogów. Nienawidził komunizmu jak najgorszej zarazy. Każdego wieczoru słuchał radia „Wolna Europa”. Mawiał, że na komunistów nie ma silnych i że trzeba czekać na III wojnę światową. Drażniła go nierealistyczna postawa dzieci. Często

dochodziło między nimi do ostrych polemik. Musiałam je łagodzić. Byłam przekonana, że to dzieci mają rację — po prostu wierzę w cuda, a komunizm kwestionował istnienie Boga i walczył z Kościołem. Taka ideologia musi ponieść klęskę, tego byłam pewna. Nie wiedziałam tylko kiedy to nastąpi. Dlatego bałam się o los mojej rodziny.

Nastała jesień. Jak co roku mąż intensywnie pracował w naszym ogrodzie. Od chwili kiedy przeszedł na emeryturę działka stanowiła jego domenę. Nie lubiłam bywać razem z nim w ogrodzie, dochodziło bowiem do częstych sprzeczek. Na działce panował Franciszek, a ja z trudem podporządkowuję się czyimś decyzjom. Zresztą rekonwalescencja jeszcze się nie zakończyła i musiałam się nieco oszczędzać.

Sporo czasu poświęcałam wnukom, szczególnie córeczce Haliny. Zabierałam Asię do kościoła, chodziłyśmy razem do ogrodu. Dziadek również kochał swoje wnuki, szczególnie najstarszą Małgosię. Starał się jednak sprawiedliwie traktować całą trójkę. Wygospodarował dla nas kawałek ziemi na której mogłyśmy uprawiać po swojemu. W ogrodzie oprócz drzew najbardziej kochałam kwiaty. Franek nie podzielał mojego upodobania. Dla niego z kwiatów istniały tylko róże. A ja cieszyłam się widokiem każdego kwiatka od stokrotki i niezapominajek po floksy, malwy, astry, cegielki, lewkonie, bratki, tulipany czy narcyze. Najbardziej radował mnie widok naszego ogrodu wiosną. Drzewa rozprostowywały swoje sylwetki, całe przybrane kwieciami. Najpierw zakwitwały wiśnie, tuż po nich śliwy, wczesne jabłonki, grusze, późne jabłonki, nawet staruszka szara reneta wyglądała jak księżna pani. I ten zapach jakiego nie oddadzą najdroższe nawet perfumy świata. Uwielbiałam to nasze królestwo. Działkowe koty mruczące z zadowolenia po zjedzeniu przyniesionej im stawy, przeróżne trele i świergot ptaków, żabki kumkające i bzyczenie pierwszych pszczoł. Mogłabym spędzać tu cały dzień, ale Franek nieco głuchy, przeszkadzał mi swoim wrzaskiem. Nie lubiłam też innych odgłosów ludzkich, szczególnie pijackich. Wracałyśmy więc z Asią z naszego królestwa wcześniej niż bym chciała. Zazwyczaj obie niosłyśmy ze sobą bukiety kwiatów. Dziadek przychodził z ogrodu do domu później i przynosił inne dary ziemi.

Jesienią 1981 roku też chodziłyśmy z wnusią na działkę. Asia przebierała wolno swoimi nóżkami, a ja swoimi. Nieraz zachodziłyśmy jeszcze do piekarni Puzdrowskich, gdzie po starej znajomości udawało mi się kupić kawałek pysznego ciasta, kilka amerykanek, słodką bułkę. Asia lubiła ich wypieki. Idąc chodnikiem zajadała smakowicie.

Po dojściu do domu zabierałam się za gotowanie obiadu, co wcale nie było wówczas takie proste. Brakowało wszystkiego, przede wszystkim mięsa, trzeba więc było nieźle się nakombinować.

Dzieci wracały o różnych porach. Mirek pracował w systemie zmianowym w ZPO „Truso”, podobnie Niusia z tym, że w Zakładach Wielkiego Proletariatu, Elżbieta wracała z biblioteki najczęściej po 19.00. Najprędzej przychodziła Halinka ze Spółdzielni Mieszkaniowej „Zakrzewo”. Ona gotowała oddzielny posiłek dla Asi. Dziwnym trafem moja wnusia nie lubiła mięsa ani wędliny. Zresztą miała nieco ponad 2 latka i Halina przywiązywała dużą wagę do jej posiłków.

Franek wracał już po zachodzie słońca i pierwsze swoje kroki kierował do kuchni. Musiałam więc tak kombinować z robieniem posiłków, żeby zaspokoić potrzeby wszystkich domowników. To nie było wcale łatwe.

Dzieci oprócz pracy zawodowej zajęte były działalnością polityczną, często wracały późno lub wyjeżdżały na dzień lub dwa. Mirek załatwiał niezależnego historyka na akademię z okazji 11-go Listopada. Wraz z innymi członkami KOW za P przygotowywał się do kolejnej rocznicy wydarzeń grudniowych z 1970 roku.

Elżbieta wyjeżdżała w sprawach bibliotekarskiej „Solidarności” do Suwałk, Szczecina, Gdańska. Brała też udział w strajku okupacyjnym pracowników budżetówki w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku. Często wyjeżdżała do Warszawy po książki z oficyny wydawniczej „NOWA”. Byłam więc wówczas raczej obserwatorką wzmoczonej aktywności moich dzieci.

Na początku grudnia pogoda zrobiła się adwentowa — lekki mrozek ściał wodę w kałużach, ziemia skostniała, ale nie było jeszcze śniegu. Nadchodziła 11 rocznica wydarzeń grudniowych. Mirek wraz z Komitetem Więzionych za Przekonania zamierzał czynnie włączyć się do obchodów tej rocznicy. Elbląg dzięki staraniom „Solidarności” miał pod każdym względem udany pomnik Ofiar Grudnia 1970. Elżbieta redagowała treść wystąpienia, jakie miał zamiar wygłosić jej brat. Mirek przywiózł następne partie książek, biuletynów i plakatów. Jeden z plakacików okazał się proroczy. Była na nim choinka, a pod nią czołg i inne militaria owinięte kolorowymi kokardkami. U góry napis: „... Idzie gwiazdka, idzie...”. Elżbieta zdążyła go jeszcze powiesić na tablicy w holu swojej biblioteki.

Łabędzie zagubiły się w zimowej aurze i utknęły bezradnie na środku kanału. Mirek zawiadomił straż pożarną. Wzięłam torbę suchego chleba i wraz z Asią podreptałyśmy nakarmić łabędzie. To był nasz ostatni beztroski spacer przed 13 XII 1981 roku. W drodze powrotnej zaszłyśmy jeszcze do kościoła św. Mikołaja i powiadomiłyśmy Elżbietę, że łabędzie mają się już lepiej.

W sobotę 12 XII 1981r. Mirek miał wolny dzień, dalej przygotowywał się do obchodów grudniowych. Elżbieta skończyła redagowanie jego wystąpienia. Upiekłam kartoflaka, placka drożdżowego i napaliłam w piecach. W naszym domu było swojsko, przytulnie i bezpiecznie. Kładliśmy się do snu z przekonaniem, że i niedziela będzie równie miła i udana.

ROZDZIAŁ II

„Stan wojenny”

13 grudnia to jedna z najbardziej bolesnych dat w historii naszego narodu. Data ta oznacza dla wielu z nas zniszczenie nadziei i zdławienie wlotu narodowego. Data ta zawsze kojarzyć się będzie z ofiarami stanu wojennego – z górnikami z „Wujka”, a potem „Lubinia”, z Grzesiem Przemykiem, z Bogdanem Włosikiem i Piotrem Bartoszcze. Z setkami bezimiennych katowanych przez ZOMO i „nieznanych sprawców”, z tysiącami maltretowanych i poniewieranych w komunistycznych więzieniach. 13 grudnia – to rozpętanie wielkiej fali nienawiści, która doprowadziła do zamordowania księdza Jerzego i innych odważnych kapłanów. To zniszczenie wielu sumień i tworzenie klimatu przemocy, którego ofiarą padł Jan Strzelecki. Zapomnieć o tym nie wolno. Krew przelana w imię „Solidarności” i prawdy zobowiązuje.

13 XII — w niedzielę — najpierw obudził się Franciszek. Minęło trochę czasu — zanim zorientował się, że w Polsce wydarzyło się coś niedobrego. Włączył telewizor, wyłączył; psioczył, że coś z anteną nie w porządku. Mirek wyjrzał przez okno i zdumiał się widokiem kolumn wojskowych. Czas mijał, a wojsko jechało. Teraz on włączył telewizor — nadal śnieżył. Za oknem śnieg przykrył wszystko warstwą bieli. Taka dekoracja nadawała element grozy wojskowym manewrom. Mirek wybiegł z domu. Córki również nie rozumiały całej tej sytuacji. Mężowi dygotały dłonie, brakowało powietrza. Franek chorował na serce i zaistniałą sytuację skojarzył z wybuchem wojny. Ja również źle się poczułam, miałam jak najgorsze przeczucia. Elżbieta wybiegła z domu nie mogąc doczekać się Mirka. Myślałam o najstarszym, o Marku — serce mi mówiło, że przydarzyło mu coś złego. Franek raz jeszcze włączył telewizor i tym razem na ekranie zobaczyliśmy komunistycznego generała. Dudnił tym swoim faryzeuszowskim głośnikiem, że z dniem 13 XII 81r. powstała Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego; wprowadzono stan wojenny. Komunikował on też, że najbardziej ekstremalnych działaczy „Solidarności” internowano. Byłam już pewna, że Marka internowali.

Ubrałam się, zabandażowałam brzuch jeszcze nie do końca zagojony po operacji, zapakowałam wałówkę i czekałam na powrót Elżbiety i Mirka. Musiałam ustalić co się stało z Markiem.

Mirek wrócił rozgniewany. Mówił, że komuniści rozwalili siedzibę Zarządu Regionu. Na ulicach oprócz kolumn samochodów wojskowych pojawiły się grupki ZOMO. Przyszedł do domu, żeby ostrzec rodzinę. Podawał nazwiska osób internowanych. Wkrótce wróciła Elżbieta — była w bibliotece. Telefony nie działały, poczta nie funkcjonowała — żadnej możliwości kontaktu. Widziała rozbitą siedzibę „Solidarności” na ul. 1-go Maja i odręcznie sporządzoną listę osób internowanych — spisała nazwiska. Zakomunikowałam dzieciom, że jadę na Zawadę, sprawdzić co stało się z Markiem. Byłam pewna, że i jego internowali. Jadąc autobusem nie kryłam łez, ciekły ciurkiem. Jakaś dobra pani podała mi chusteczkę; wśród jadących panowała atmosfera żałoby. Wszyscy byli porażeni wiadomością o wprowadzeniu stanu wojennego.

Dojechałam na miejsce i już w progu mieszkania syna wiedziałam, że i tym razem serce mnie nie myliło. Anka cała zapłakana, dzieci wypłoszone, opadły mi ręce. Stałyśmy tak jakiś czas w milczeniu w przedpokoju. Wnuczki nie umiały jednak powstrzymać radości z mego nieoczekiwanego przyścia. Gosia podbiegła do mnie i zakomunikowała mi swoim srebrzystym głosikiem, że tatusia zabrali źli ludzie, jeszcze nie wrócił, a miał ją i Adasia zabrać na saneczki. Weszliśmy do pokoju. Synowa wzięła się w garść i opowiedziała mi o nocnym zajściu. Przed godziną 24.00 rozległ się dzwonek u drzwi. Marek poszedł sprawdzić, wyjrzał przez wizjer, drzwi nie otwierał. Natręt nie dawał za wygraną, dzwonił nadal. Podawał się za sąsiada z dołu i prosił, żeby go wpuścić; twierdził, że ktoś zalewa mu mieszkanie. Marek nie ufał intruzowi, zbliżała się północ. Tamten odwołał się w końcu do Marka męskością: — „Bądź pan mężczyzną, otwórz drzwi, musimy pogadać”. Marek po dłuższej chwili zdecydował się otworzyć. Do mieszkania weszło ich trzech. Najstarszy z nich major SB Kazimierz Sapiński kazał Markowi się ubrać. Anka nie chciała się na to zgodzić — „Mąż ma zaraz wrócić”. Chciała z nimi jechać.

— „Mamo, zabrali go w nocy, minęło tyle godzin. Myślę, że go internowali. Starsza o rok od Adasia niespełna 4-letnia Gosia wpadła Ance w słowo.

— „Co to znaczy internowany? Mamusiu, gdzie jest tatuś?” Adaś, mniej elokwentny, siedział w milczeniu, z uwagą obserwując rozmawiające kobiety.

Rozpakowałam torbę — nie w głowach nam było jedzenie i picie. Wzięłam na kolana Gosiulkę i Adulka, uściskałam synową i podreptałam z powrotem do swojego domu. Serce nadal miałam niespokojne — czułam, że internowanie Marka to dopiero początek mojej drogi krzyżowej. Wróciłam więc do domu nieco zdyszana, porażona świadomością, że najstarszy syn spędził już pierwsze godziny gdzieś na poniewierce, uzależniony od tych polskojęzycznych komuszków.

Po moim powrocie i zwięzłej relacji w naszym domu zapadła niespotykana cisza — Franek zacisnął usta, wstydził się ich wyraźnego drżenia. Mirek szykował się do pracy na nocną zmianę w nietypowej dla siebie zadumie. Elżbieta suszyła włosy, Niusia zajmowała się Asią upominającą się o spacer. Rysiek, mąż Halinki grzebał się jak zwykle przy swoim rozlatującym się Morrisie. A ja płakałam — łzy ciekły mi po policzkach i nie miałam siły, żeby je wycierać. Asiulka pospieszyła mi z pomocą i pociągła — wycierała łzy i szczebiotała jakieś słowa, których nie pamiętam.

Elżbieta postanowiła pojechać na Zawadę do bratowej i dzieci. Mirek wyszedł do pracy. Po ich wyjściu zrobiło się jeszcze ciszej. Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Mąż słuchał radia „Wolna Europa”, a ja cofnęłam się myślami do czasów II wojny

światowej. W 1941 roku, w grudniu hitlerowscy żołnierze przyszli po mnie i zabrali na roboty. To była wojna światowa, żołnierze byli Niemcami. Zanim mnie zabrali, ukrywałam się przez dłuższy czas, dopiero aresztowanie mamy i szantaż, że nam spala chałupkę spowodowało, że oddałam się w ich „szpony”. Teraz — 40 lat później — znowu przeżywałam tamten strach — bałam się, że tym razem komuniści przyjdą po kolejne moje dzieci. Wspomnienia nie przynosiły ukojenia, zaczęłam odmawiać różaniec, zasnęłam.

Rano Franciszek poszedł w kolejkę — po 6-ciu latach niewoli jenieckiej obsyjnje bał się głodu. Mirek przed zejściem do podziemia wpadł na chwilę, żeby się pożegnać. Był zmęczony i głodny. Namówiłam go, żeby się na chwilę położył. Zdjął tylko buty i kurtkę, na rękawie dostrzegłam biało-czerwoną opaskę. Zaraz po nim przybiegła Elżbieta — pracę rozpoczynała o godz. 12.00. Byłam w kuchni, kiedy rozległo się pukanie, w pokoju stali umumdurowani mężczyźni, oraz niedużego wzrostu cywil. To on zapytał o Mirka. Weszli do środka, starałam się ich wyprzedzić, wejść przed nimi do pokoju, w którym spał Mirek.

— „Mirek, goście do Ciebie” — delikatnie dotknęłam jego ramienia. Syn budził się wolno, tak jak się budzi człowiek po nieprzespanej nocy, przetarł oczy i ujrzał tych „gości”. Do „akcji” wkroczył fun. SB z nieco żółtawym odcieniem cery.

— „Panie Duszak — pojedzie pan z nami, proszę się ubierać”. Mirek zdjął z ramienia biało-czerwoną opaskę i podał mi, zaczął się ubierać. Do pokoju weszła Elżbieta była wściekła, „nabuzowana” gotowa wdać się w awanturę. Rozpoczęłam swoją tyradę. Powiedziałam im, że postępują jak gestapo. Podałam synkowi różaniec i prosiłam, żeby zawsze pamiętał, że jest Polakiem. Ubeczek podskakiwał do Elżbiety, która pyskowała z typową dla siebie swadą. Mirek wciągnął zimowe buty i założył ciepłą kurtkę — przycisnęłam go do serca, pobłogosławiłam. Mundurowi wzięli go z obu stron, ubek szedł za nimi. Kierowali się do drzwi wejściowych. Całe zajście widziała Asia. „Ciociu, co się tutaj dzieje?” Elżbieta odpowiedziała krótko i dosadnie.

— Skurwysyny wujcia ci zabierają! Asiulka powtórzyła — „Skurwysyny wujcia mi zabierają”. Polskojęzyczny ubeczek cofnął się do drzwi i zamknął je z drugiej strony, tym razem na dobre.

Elżbieta znalazła zimową czapkę brata, pobiegła za wychodzącymi, żeby mu ją podać. Samochody stały jeszcze pod domem. Mirka wsadzili do Fiata 125 P, podała mu czapkę i odeszła bez słowa, z pogardą patrząc na ubeczka mamroczącego coś o tym, że brat zaraz wróci. Horror zgotowany nam przez „czcigodnego” gen. Jaruzelskiego nabierał dynamiki. W głowie kołatała mi się jedna myśl — gdzie go wiozą i kiedy go zobaczę?

Franciszek wrócił z kolejki niosąc w torbie kawałek słoniny. Widział wprawdzie wyprowadzanego syna, ale nie potrafił sobie poradzić z zaistniałą sytuacją. Nie miałam chęci, żeby zajmować się gotowaniem — nie mogłam usiedzieć na miejscu. Ubrałam się i poszłam, gdzieś przed siebie, szukać synów. Byłam u księdza, pytałam znajomych i nieznajomych mi ludzi. Krążyły pogłoski, że internowanych przetrzymują w koszarach, pojechałam pod koszary przy ul. Gen. Bema — nic nie ustaliłam — wróciłam do domu.

14 grudnia — poniedziałek — „normalny” dzień pracy. Najwcześniej wróciła Ha-linka i zajęła się Asią. Elżbieta pracowała do 19.00, a Niusia wracała dopiero po 22.00.

Raz jeszcze wyszłam, musiałam zobaczyć się z Elżbietą. Serce mi mówiło, że i ona może mieć problemy.

Zabrałam ze sobą coś do jedzenia i poszłam do biblioteki przy ul. Wigilijnej, gdzie w Wypożyczalni Naukowej pracowała moja córka. Elżbieta była w dalszym ciągu „nabuzowana”, prosiła żebym wróciła do domu. Wiedziałam, że córka martwi się o mnie tak jak ja bałam się o nią. Zawsze kiedy mocno coś przeżywa staje się szorstka i niezbyt sympatyczna.

Dni zaczęły się toczyć jakbym śniła: wstawałam, ubierałam się i wychodziłam z domu w poszukiwaniu synów. Nie poszłam tylko na komendę milicji, bo to przecież oni byli sprawcami naszego nieszczęścia. Informacje uzyskane od ludzi i z Radia Wolna Europa nie były precyzyjne, to źle nastrajało. Wierzyłam jednak głęboko, że moim synom i ich kolegom nie stanie się nic nieodwracalnego, aż do 16-go grudnia, kiedy to w kopalni „Wujek” zabito górników. Myślałam o ich rodzinach współczując im z całego serca.

17-go grudnia, w jedenastą rocznicę wydarzeń na Wybrzeżu, w kościele św. Mikołaja odprawiona została msza św. w intencji ojczyzny. Wzięłam w niej udział, później wraz z innymi udaliśmy się pod Pomnik Ofiar Grudnia 1970 — rozpędzono nas. Robotnicy największego elbląskiego zakładu „Zamechu” rozpoczęli wprawdzie strajk, ale został on sprawnie zneutralizowany, honoru Polski bronili górnicy, stoczniowcy.

Mijały kolejne dni, a ja błąkałam się od koszar do koszar w poszukiwaniu internowanych. I tak minęło dziesięć dni — nadchodziły Święta Bożego Narodzenia. Radość i przedświąteczna krzątanina nie była w 1981 r. naszym udziałem. W Wigilię synowa z wnuczkami przyjechała na Huzarską — chcieliśmy być razem — chociaż nie wszyscy. Mąż jak codzień wyruszył do sklepu, ale wrócił szybko, niósł list od Mirka. Elżbieta przeczytała na głos. „Kochani! wraz z kilkudziesięcioma kolegami z Elbląga jestem w Iławie, na spacerniku widziałem Marka. Czujemy się dobrze. Proszę o to, żebyście nie zamartwiali się o nas, kocham Was. Mamo, dziękuję Ci za różaniec. Mirek.” Kilka zdań ocenzurowanego listu dodało nam takiego ducha, że wszystko zaczęło się dziać w przyspieszonym tempie. Elżbieta wzięła się za pieczenie ciasta. Synowa pojechała na Zawadę, żeby zabrać niezbędne rzeczy dla Marka. Nusia zrobiła schludne i estetyczne pakunki. Najwcześniejsze połączenie z Iławą było późno w nocy. Elżbieta i Anka miały problem z zabranieniem wszystkich pakunków, nie zapomniały też o opłatku.

Wyrzałam przez okno i poraziło mnie zobaczone piękno. Warstwę jesiennego brudu przykrył miękki, puszysty śnieg nadając widzianym obrazom wrażenie baśni. Serce zakłuło mi, pociekły łzy — znowu widziałam.

Przed północą synowa i córka poszły na dworzec. Przedtem Nusia rozdała dzieciom prezenty, przepraszając je za nieobecność św. Mikołaja. Wieczera wigilijna była naprawdę skromna, ale rozjaśniona nadzieją. Sprawił to list od Mirka, dzięki niemu wiedziałam już gdzie są, i że żyją. Podziękowałam Panu Bogu, pomodliłam się też za zabitych górników i ich rodziny — ich krzyż był nieporównywalnie cięższy od mojego.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia obudziłam się wcześniej, i od razu wzięłam się za przygotowanie nieco lepszej stawy. Cały czas myślałam o dziewczynach. Modliłam się w ich intencji, żeby szczęśliwie wszystko załatwiły w Iławie i wró-

ciły do domu. Postanowiłam, że dzień narodzenia naszego Pana Jezusa Chrystusa musi być radosny. Wnuczki budziły się pojedynczo. Najpierw wstała Asia i słycać było jej krzatanie w najmniejszym pokoju. Halinka nie chciała jeszcze wstawać, błagała córeczkę, żeby jeszcze trochę pospała. Zajrzałam do pokoju, w którym spały dzieci Marka. Gosia i Adaś leżały spokojnie znużone wczorajszym dniem. Cichutko przeszłam do pokoju Asi i zabrałam ją ze sobą do kuchni. Asia chętnie mi pomagała, cały czas mówiła. Najpierw dopytywała mnie o ciocie: Elżbietę i Ankę — chciała wiedzieć, gdzie pojechały i kiedy wrócą. Mówiła też o swej tęsknocie za wujciem Mirkiem i bardzo żarliwie modliła się w intencji jego powrotu do domu.

Franciszek również wcześniej się obudził — szykował się do kościoła na mszę świętą. Zrobiłyśmy mu miejsce w kuchni, przeszłyśmy do największego pokoju, w którym nakryłam stół do świątecznego śniadania. Asia nie mogła doczekać się na przebudzenie kuzynów. Nusia z Halinką obiecały dzieciom, że pójdą razem do kościoła na mszę św. o godz. 12.00.

Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia minął nam na czekaniu na powrót Anki i Elżbiety z Iławy. Czekanie zawsze się wlecze, ale w tym naszym czekaniu była nadzieja, która zwyciężyła strach. Dziewczyny wróciły późno zmęczone, głodne, zmarzniete, ale zadowolone. Nie widziały się wprawdzie z Markiem i Mirkiem, udało im się jednak przekazać wszystkie pakunki. Postanowiliśmy, że 31-go grudnia do Iławy pojedzie ojciec. Od razu po świątach Franciszek rozpoczął starania o uzyskanie zezwolenia na opuszczenie granicy naszego województwa. Halinka napisała do Mirka list:

„Kochany Mirku!

Za minutkę nadejdzie Nowy Rok — 1982, z tej okazji życzymy Ci abyś w przyszłym roku był z nami. U nas wszystko w porządku. Asia często Cię wspomina i prosi, żeby o Tobie opowiadać. Od Świąt Bożego Narodzenia nie mieliśmy od Was żadnej wiadomości. Nie wiemy co do Was dotarło i czego jeszcze potrzebujecie?

Ojciec uzyskał zezwolenie na przyjazd do Iławy, może będzie miał szczęście, żeby z wami porozmawiać i osobiście złożyć wam życzenia.

My — matka, Nusia, Beta i oczywiście Asia i Rysiek przesyłamy Tobie i Markowi serdeczne pozdrowienia i uściski. Czekamy na Ciebie i Marka. Bądźcie zdrowi i oby nie opuścił Was Bóg. Halina”

1-go stycznia 1982 r. wrócił z Iławy Franciszek. Uzyskał widzenie z Markiem, Mirkowi fun. SB odebrali możliwość widzenia z ojcem z powodu jego „krnąbrnej postawy”. Franek był jednak szczęśliwy: dostarczył synom paczki, widział się i rozmawiał z Markiem. Także byłam tym podbudowana, niepokoiła mnie jednak odmowa widzenia z Mirkiem.

Na początku stycznia Elżbieta wysłała list, w którym pisała:

„Mirek!

Uzyskałyśmy przepustkę do Iławy na 9-go stycznia. Jedziemy z Anką — pociąg z Elbląga do Malborka odjeżdża o 5.10, a następnie do Iławy o 5.44. Braciszku, nie mamy od Ciebie żadnych wieści. Od pana Jakuba Alabrudzińskiego dowiedziałam się, że mój wcześniejszy list i przekaz pieniężny dotarły.

Anka i my wszyscy byliśmy pewni, że Marek wyjdzie z ZK w Iławie do końca tygodnia tj. do 10-go stycznia. Pan Jakub mówił nam też, że Marek chodzi do lekarza. Czy jest chory?

Napisz co Ci ewentualnie przywieźć. Więcej ciepłej odzieży, może chcesz jakąś grę, książkę?

Matka pomatu dochodzi do siebie, ja również. Niusia jest zawsze taka sama — to jej zawdzięczasz wszelkie łakocie. Anka, Gosia i Adaś są zdrowi. Asia i Jej rodzice też. Ojciec jak zwykle ogląda dziennik telewizyjny i słucha radia. Chcę żebyście wiedzieli, że jesteśmy z was dumni. Do zobaczenia, Elżbieta

Jakub Alabrudziński odwiedził nas na początku stycznia, wyszedł z obozu w Iławie wcześniej ze względu na zły stan zdrowia. Należał do najstarszych internowanych, siedział w celi z Mirkiem, przyszedł żeby mi osobiście podziękować za różaniec. Od Jakuba biła radość, od razu znaleźli wspólny język z Elżbietą. Bardzo byliśmy wzruszeni jego odwiedzinami.

9-go stycznia Anka i Elżbieta pojechały do Iławy i tym razem udało im się uzyskać widzenie z Mirkiem i Markiem — wróciły szczęśliwe. Zbliżał się koniec pierwszego miesiąca od dnia wprowadzenia stanu wojennego.

12-go stycznia Elżbieta z pracy wróciła „nabuzowana”, miała problemy z przełożonymi. W bibliotece wprowadzono styl pracy iście wojskowy — dusiła się w takiej atmosferze. Miała za złe swoim przełożonym, że tak łatwo ulegli zastraszeniu i postępują, w najlepszym przypadku jak oportuniści. Uważała, że WBP nie jest instytucją zmilitaryzowaną i powinna funkcjonować normalnie, służyć czytelnikom i ich potrzebom, a nie komunistycznej władzy. Nosiała znaczek „Solidarność”, co wywołało interwencję oficera SB. Reagowała niezwykle sarkastycznie mówiąc, że „z gówna zrobili dynamit, a teraz są zaskoczeni, że wokół tyle smrodu” — miała na myśli zarówno władze PRL jak i kierownictwo biblioteki.

13-go stycznia wróciła do domu z informacją, że dyrekcja zamierza przenieść ją z pracy w Dziale Naukowym do Centralnej Wypożyczalni dla Dorosłych, co jej nie odpowiadało. Lubiła swoje koleżanki i kolegów: mieli zbliżone poglądy polityczne, byli z tego samego pokolenia, razem przeżywali wprowadzenie stanu wojennego. Wiele ciepłych słów skierowała wówczas pod adresem: Niny Sułek, Anki Cory, Krysi Wrzesińskiej, Eli Ślebody, Janki Kownackiej, Teresy Gałązki i Krysi Pedy. Nie wyobrażała sobie współpracy z panią R. Limberg — kierowniczką CWD.

14-go stycznia wysłała list do Iławy, w którym pisała:

„Drodzy bracia, wysyłam paczkę, mam nadzieję, że dotrze talon — jest na 3 kg. Marek, Anka załatwiła to, o co ją prosicie na widzeniu.

Mirek, byłam u ks. prałata M. Józefczyka — obiecał, że w naszej sprawie zwróci się do Ks. Biskupa.

Poza tym wysłane zostały pieniądze dla Waszych kolegów (powiadomcie Michała). Mirek, paczka jest skromna, ale za to z ciastem upieczonym przez mamę. Nie wiem jak długo będę jeszcze pracowała w Dziale Naukowym, może bardzo krótko, a potem co Bóg da. Jeżeli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego przyjedziemy w sobotę — 23.01.1982 roku.

Życie toczy się dalej, a mi się zdawało, że to już koniec świata. Tak daleko jeszcze do wiosny, mam nadzieję, że dożyjemy? Zostańcie z Bogiem. Elżbieta

P.S. Wysyłam Wam witaminy — bierzcie koniecznie.”

15-go stycznia Elżbieta nie wróciła z pracy do domu, została aresztowana. Pierwsze dni trzymali ją na Kom. Woj. MO w Elblągu, a potem wywieźli do Aresztu

Śledczego w Ostródzie. Przeżyliśmy kolejny wstrząs. Halinka bardzo ofiarnie pospieszyła siostrze z pomocą. Udało jej się, jeszcze przed wywiezieniem Elżbiety z Elbląga przekazać jej różne rzeczy: szczoteczkę do zębów, mydło, szampon, grzebień, nieco słodyczy oraz wygodne zimowe buty. Koleżanki córki były również zaszokowane, solidarne z nami w nieszczęściu. Odwiedziły nas i niosły wszelką pomoc. Wzruszyła mnie szczególnie ich kartka adresowana do Elżbiety:

„Przesyłamy Ci bardzo serdeczne pozdrowienia i uściski. Ciągłe o Tobie myślimy, trzymamy kciuki i czekamy na Ciebie, bo bardzo nam bez Ciebie smutno. Jeszcze Polska nie zginęła... oraz czytelne bez najmniejszego asekuranctwa podpisy: Wrzesińska Krystyna, Elżbieta Śleboda, Janina Sułek, Alina Romanowska, Helena Zielińska, Anna Cora, Janina Kownacka i Teresa Gałązka.”

Kartka była śliczną reprodukcją obrazu Józefa Chełmońskiego „Jesień”. Wiele razy odwiedziła nas też Renata Zubrzycka.

Franciszka znoszącego raczej spokojnie internowanie synów, aresztowanie córki poruszyło do głębi. Nie szczędził swoich skromnych zasobów finansowych na adwokata. Asia ciągle dopytywała o ciocię. Malowała do niej swoje listy: niebo, słońce, kwiaty i góry. Wiedziała, że jej ciocia kocha góry. Chciała więc jej, chociaż na kartce papieru, ofiarować coś naprawdę cennego.

Adwokat Elżbiety był z urzędu, odwiedził nas, żeby przybliżyć nam postawione jej zarzuty i uzgodnić taktykę obrony. Śledztwo toczyło się w trybie doraźnym, sprawa miała odbyć się w Sądzie Wojennym w Gdyni.

Skrócony Akt Oskarżenia zawierał informację: „... że w dniach 13 i 14 stycznia 1982 roku w Elblągu sporządziła w celu rozpowszechnienia wierszowany tekst zawierający fałszywe wiadomości o braku niepodległości Polski w aktualnej sytuacji politycznej, potępienie decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego oraz ustawodawstwa obowiązującego w tym stanie, a nadto krytykę aktualnych przedsięwzięć władz państwowych zmierzających do ustabilizowania sytuacji społeczno-politycznej kraju wyrażając jednocześnie zwątpienie w skuteczność i trwałość tych działań, grożąc przy tym nastąpieniem zemsty za podjęte poczynania ze strony nieokreślonej grupy społecznej, a następnie tak sporządzony tekst wywiesiła na tablicy ogłoszeń znajdującej się na terenie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w miejscu ogólnodostępnym, co w konsekwencji mogło wywołać niepokój publiczny, to jest przestępstwo określone w art. 48 ust. 2 i 3 dekretu z dnia 12 grudnia 1981 roku o stanie wojennym (dz. U. Nr. 29, poz. 154).”

Wiersz ten nosił tytuł „Żegnaj dziale naukowy”. Zarzuty postawione Elżbiecie przez Prokuraturę Garnizonową w Elblągu brzmiały groźnie, ale jednocześnie tak jakoś groteskowo czy raczej surrealistycznie. Była jedyną podejrzaną, podpisała się pod swoim wierszem. Śledztwo toczyło się w trybie doraźnym i trwało kilka dni. Rozprawa w Sądzie Marynarki Wojennej miała odbyć się w połowie lutego.

Koleżanki Elżbiety broniły jej wspaniale, szczególnie Anka Cora, świadkami oskarżenia byli — Włodzimierz Martin — dyr. WBP, Julia Nowosad — dyr. d/s merytorycznych i Daniela Samborska — kierowniczką Działu Instrukcyjno-Metodycznego. Oskarżycielem był ppor. Wiesław Zaczek. Nazwiska obrońcy nie pamiętam, nie był on zbyt efektywny. Więcej w tej sprawie zrobiły jej koleżanki.

Halinka i Nusia były na rozprawie w Gdyni. 14-go lutego Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni ogłosił werdykt uniewinniający ją i nakazał jej zwolnienie z aresz-

tu. Z Ostródy wróciła Elżbieta następnego dnia, dobę po uniewinnieniu, ponieważ kierownictwo aresztu nie umiało sprawnie załatwić formalności związanych z wydaniem jej depozytu. Po kilku dniach wróciła do pracy w Wypożyczalni Naukowej, gdzie powitano ją entuzjastycznie.

W międzyczasie z ZK w Iławie wyszedł Marek, Mirka mogłam powitać w domu dopiero 23-go maja 1983 roku. Przybyło mi jednak nowe zmartwienie — w środę popielcową 1982 roku Niusię wyrzucono z pracy w ZWP. Dyrektor jej zakładu stosował najrozmaitsze metody, żeby pozyskać członków do reżimowych związków zawodowych — Nusia pozostała wierna „Solidarności” i została po kilkunastu latach pracy zwolniona.

Do Mirka najczęściej jeździły Elżbieta i Nusia. Oprócz żywności, papierosów, kawy zawoziły mu bibułę, papier, farbę, tusz, flagi biało-czerwone, karbid i inne rzeczy niezbędne do drukowania. Internowani uwięzieni w Zakładzie Karnym zorganizowali swoje życie niezależnie od władzy państwowej. Bronili się przed komunistycznym zniewoleniem wydając biuletyn „Nasza Karta”, drukując exlibrysy, tworząc i śpiewając piosenki patriotyczne i satyryczne, biorąc udział w wykładach — w Iławie internowani byli m. in. Antoni Macierewicz, Tadeusz Syryjczyk, Stefan Śnieżko. Brali też udział w uroczystościach religijnych, szczególnie we mszach św. celebrowanych nie tylko przez miejscowego ks. Gelerta, ale także przez księży biskupów z Olsztyna (J. C. J. Wojtkowskiego i J. E. ks. biskupa Jana Obłąka), a także ks. prałata Mieczysława Józefczyka z Elbląga. Większość dokumentów powstających w obozie trafiło poprzez rodziny na zewnątrz. W jednym z takich dokumentów Mirek pisał:

“Obóz internowanych w Iławie”

1-go Maja 1982 r. — internowani odmawiają posiłków, wystawiają naczynia na korytarz. W ten sposób protestują przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego oraz żądają ukarania winnych pobicia czterech ich kolegów w dniu 25.03. 1982 roku.

2-go Maja 1982 r. — protest trwa. O godz. 10.00 internowani biorą udział we mszy św. odprowadzonej przez ks. Gelerta. Po mszy śpiewają: „Boże coś Polskę”, „Pieśń konfederatów”, „Zwyciężymy”, „Modlitwę obozową”.

Na oddziale VI trwa pogotowie — ok. 20 klawiszy zamyka internowanych w celach. W nocy internowani bawią się w „porykiwanie stoni”, polega ona na nawoływaniu się celami: jedna cela daje sygnał, inna odzew.

3-go Maja 1982 r. — protest trwa. O godz. 12.00 internowani spotykają się w świetlicy. Na suficie malują „Solidarność Zwycięży” i znak Polski Walczącej (kotwicę). Na ścianie piszą: „Niech Żyje Polska Niepodległa”, a następnie przystępują do obchodów święta 3-go Maja: najpierw śpiewają hymn Polski, oraz „Boże coś Polskę”, odmawiają Litanię do Najświętszej Maryi Panny. Znowu śpiewają: „Pieśń Konfederatów”, „Witaj 3-Maj”, „Marsz internowanych w Iławie”, „Hymn internowanych w Rumunii. Wznoszą okrzyki: „Niech żyje Solidarność”, „Niech żyje Wałęsa”, „Nie opuścim Lecha, nie opuścim Lecha, nie opuścim Lecha — wyrzucim Wojciecha. Nie oddamy stoczni, nie oddamy stoczni, nie oddamy gdańskiej stoczni. Twarde nasze kości, twarde nasze kości i wrócimy znów do stoczni”. Po zakończeniu uroczystości internowani wychodzą na korytarz, gdzie czeka na nich oddział złożony z 60-ciu klawiszy. O godz. 21.00 internowani zapalają znicze i śpiewają. Klawisze wpadają do cel, zrzucają znicze i próbują ich zastraszyć.

4-go Maja 1982 r. — koniec protestu. Internowani zostają ukarani: pozbawieni możliwości korzystania ze świetlicy oraz najaktywniejsi odebraniem widzenia z rodzinami. Z radia internowani dowiadują się o obchodach 3-Maja w kraju. Wiedzą, że liczące manifestacje odbyły się w Warszawie, Gdańsku, we Wrocławiu, w Szczecinie, a także i w Elblągu. Mamy świadomość, że szybko nie odzyskamy wolności, jesteśmy jednak podbudowani faktem, że Polacy żyjący po drugiej stronie kraty nie poddali się reżimowi komunistycznemu. Mirek'

W Iławie byłam w połowie maja, spędziłam cały dzień pod więzieniem, złożyłam trzy podania do komendanta obozu, o zezwolenie na widzenie z synem — bez rezultatu. Tego dnia poznałam osobiście Basię Brumer — żonę Bogusia Szybalskiego, która w grudniu 1992 r. napisała o nas artykuł w „Gazecie Gdańskiej” pt. „Starsza pani Duszak”.

W czerwcu 1982 roku internowanych z ZK w Iławie rozdzielają i wywożą do innych obozów w Polsce: większość elblązan, w tym Mirka do ZK w Kwidzynie. Tadek Chmielewskiego i Bogusia Szybalskiego — członków Komisji Krajowej NSZZ „S” aż na południe Polski. Internowani nie zrywają ze sobą kontaktów, w czasie widzeń z rodzinami przekazują sobie korespondencję. Tadeusz Chmielewski tak pisze w jednym z listów:

„Cześć Mirek!

Pozdrawiam Ciebie i spółkę serdecznie. Tym razem z Bieszczad. Przyjechaliśmy dziś w nocy ok. 2.00, przyjechała nasza 17-ka w komplecie, a łącznie 37-u z obozu w Kielcach. Zostało na miejscu 25-kolegów z Kielc. Przyjechali z nami krakowiaczy, radomiacy, chełmiak. Jesteśmy w ZK — Obóz Internowanych w Łupkowie, niedaleko Komańczy: 38-545 Nowy Łupków, woj. krośnieńskie.

Są trzy pawilony parterowe, luz dosyć duży w stosunku do Iławy, dyscyplina prawie żadna, cele otwarte. Łącznie jest nas ok. 140 internowanych, głównie z Południowej Polski: Bielska Białej, Częstochowy, ze Śląska. Kończę bo nie mam już czasu. Niespodziewanie przyjechała na widzenie z Rysiem Walenczewskim jego żona Basia. Chyba jest to nasz obóz docelowy. Tyle, na razie. Ryśka już wzywają. Tak trzymać! Pozdrowienia dla wszystkich od: Janka, Bogusia, Anka M. i Ryśka.

Tadek Łupków, 9.08.82 r.”

Lato 1982 r. było upalne, pewnie śliczne, ale nam minęło na cotygodniowych wyjazdach do Kwidzyna. Aż do 14-go sierpnia wszystko toczyło się rutynowo: przez cały tydzień gromadzimy różne materiały i artykuły potrzebne Mirkowi, a w sobotę lub niedzielę wyjeżdżamy do Kwidzyna, gdzie godzinami czekało się na zezwolenie na widzenie. Na początku sierpnia Niusia i Elżbieta przemycają do obozu aparat fotograficzny, magnetofon i kasety. Było to ich ostatnie widzenie z Mirkiem przed pacyfikacją obozu w Kwidzynie.

14-go sierpnia — córki zamiast widzenia z bratem — są świadkami zmasowanego najazdu sił: fun. SW, milicji i wozu straży pożarnej na Zakład Karny. Do domu wróciły roztrzęsione i przybite. Po drodze na dworzec PKS spotkały dowódcę wozu strażackiego — Romana Gołucha, który poinformował je, że wewnątrz więzienia oddziały szturmowe SW maltretują internowanych.

Następnego dnia dziewczyny wracają do Kwidzyna, informacje R. Gołucha potwierdziły się. Elżbieta pisze podanie do komendanta obozu z prośbą o widzenie z

bratem — Mirkiem Duszakiem, w celu osobistego sprawdzenia w jakim jest on stanie, czy jeszcze żyje? Komendant obozu — kpt. Julian Pobłocki — po rozmowie z Elżbietą i Niusią — zezwała im na 15-minutowe widzenie z Mirkiem. Wówczas to zdołały jeszcze odebrać kasety z nagranyymi piosenkami i aparat fotograficzny — oczywiście przedmioty były ukryte. Magnetofon znajdował się w depozycie u klawiszy. Mirek pomimo kilkudziesięciu uderzeń pałkami trzymał się dzielnie. Zakomunikował im m. in., że internowani rozpoczynają protest głodowy. Elżbieta po powrocie do domu opisała pacyfikację obozu dla internowanych w Kwidzynie i wysłała w różne miejsca, w tym do Tadka Chmielewskiego — przebywał on wówczas w ZK w Załężu. W odpowiedzi nadszedł list od Tadka:

“Droga Elu!

Dzisiaj otrzymałem opis „sprawy kwidzyńskiej”. dziękuję, że pamiętasz o nas i starasz się, żebyśmy mieli ciągłą informację od naszych kolegów. To co się stało w Kwidzynie jest przerażające. Opis rzeczywistości jest bardziej smutny niż ten, jaki był podawany w oficjalnym komunikacie. Chłopcy przeszli tam, i przechodzą w dalszym ciągu gehennę. Wszystko to budzi we mnie oburzenie i współczucie dla cierpiących. Niestety, w tym całym nieszczęściu jestem bezsilny i zaciskam tylko zęby. Wierzę, że przyjdzie w końcu ten dzień, że bandytów rozliczymy „według zasług”. Tym czasem dramatu mamy ciąg dalszy. W miejsce oprawców, którzy już dawno powinni siedzieć w kryminale, przymknęli ofiary ich bestialstwa. Całą tę historię można przyrównać do metod okupantów z okresu drugiej wojny światowej. (...) proszę Cię Elu o przekazanie mojego pocieszenia dla wszystkich. (...) Ponieważ układy się zmieniały wszystko będzie szło na Ciebie. Musisz wraz z życzliwymi ludźmi zrobić wszystko, żeby docierać do jednych i drugich. Mimo wszystko jestem optymistą i mam nadzieję, że zarówno Miruś jak i pozostali koledzy wyjdą cało z tej sprawy. Inaczej być nie może (...). Trzeba tym czasem całej siódemce pomóc we wszystkim, czego potrzebują. Należy wokół tej sprawy, zrobić więcej szumu”. Ten opis powinien przeczytać każdy obywatel „wolnego” kraju, żeby miał świadomość... jak wygląda „dialog” Polaka z Polakiem (...) zwłaszcza powinni go przeczytać wszelakiej maści „porozumiewacze”... na tym kończę. Dziękuję Elu Tobie i wszystkim przyjaciołom. Proszę o przekazanie słów otuchy wszystkim kolegom aresztantom i skazanym, o których los bardzo się martwię. Pozdrawiam też „kwidzyniaków”: Michała Lubomirskiego, Adama Golika, Darka Brzozowskiego, Leszka Koszytkowskiego, Stasia Romańskiego, Andrzeja P. i pozostałych. Trzymajcie się dzielnie. „Solidarność” zwycięży!
Załęże 11/12. 09. 1982 r. Tadek’

Elżbieta ustaliła, że 14-go sierpnia w ZK w Kwidzynie pobito 81 internowanych, w tym 38 osób doznało ciężkich obrażeń, a 23 osoby znalazły się w szpitalu. Protest głodowy internowanych trwał do 30/31 sierpnia, czterech z pawilonu III głodowało do 4-go września. Protest ten miał na celu ukaranie winnych bestialskiego pobicia w dniu 14-go sierpnia. Prokuratura Garnizonowa w Elblągu rozpoczęła wprawdzie śledztwo w postulowanej przez internowanych sprawie, ale jednocześnie Prokuratura Wojewódzka w Elblągu postanowiła w dniu 6-go września 1982 r. o aresztowaniu dotkliwie pobitych ich kolegów: Andrzeja Bobera, Władysława Kałudzińskiego z Olsztyna, Mirosława Duszaka z Elbląga, Andrzeja i Zygmunta Goławskich z Siedlec, Adama Kozaczyńskiego z Tomaszowa Lubelskiego i Stanisława Żyglic-

kiego, który po złożeniu zeznań został wkrótce zwolniony z Aresztu Śledczego w Elblągu. Jeszcze jeden potencjalny oskarżony – Radek Sarnicki przebywał wówczas w Akademii Medycznej w Gdańsku.

Pobicie i aresztowanie Mirka i jego kolegów wstrząsnęło nie tylko nami. Jeszcze w okresie Świąt Bożego Narodzenia przekazaliśmy Mirkowi kartkę z życzeniami od ks. prałata Mieczysława Józefczyka, który napisał:

„Drogiemu Mirkowi najserdeczniejsze życzenia przesyła ks. Mieczysław Józefczyk. Twoje uwięzienie i Twoich kolegów, to największy cios w sprawiedliwość i moje serce”.

Te lapidarne i szczere słowa zawarte zostały w świątecznej kartce „Z pamiątką narodzenia Jezusa Chrystusa i Nowym Rokiem” oraz fragmentem Ewangelii św. Łukasza, 2, 1–20.

Prokuratura Wojewódzka w Elblągu przedstawiła w końcu akt oskarżenia przeciwko: Adamowi Tomaszowi Kozaczyńskiemu, Władysławowi Kołodzińskiemu, Mirosławowi Duszakowi, Andrzejowi Witoldowi Boberowi, Zygmuntowi Wiesławowi Goławskiemu i Andrzejowi Franciszkowi Goławskiemu z art. 46 ust. 6 dekretu z dnia 12.12. 1981 r. o stanie wojennym (Dz. U. nr 29, poz. 154) w zw. z art. 254, paragr. 1 i 10 k. k. Mirka oskarżono o to, że „w dniu 14-go sierpnia 1982 r. w Kwidzynie, w celu przeprowadzenia akcji protestacyjnej, brał czynny udział w zbiorowym wystąpieniu internowanych w miejscowym Ośrodku Odosobnienia, podczas którego dopuścił się czynnej napaści na interweniujących funkcjonariuszy Służby Więziennej rzucając w nich taboretami oraz budował barykadę tarasując wejście do pawilonów nr I i II, a ponadto zaintonował pieśń: «My nie, my nie, my nigdy nie poddamy się Komunie», przez co utrudniał prawidłowe funkcjonowanie tego Ośrodka”.

Proces zaczął się 2-go marca 1983 roku i trwał aż do 23-maja. Naszych chłopaków bronili: braci Goławskich — mec. Władysław Siła-Nowicki, Jerzy Woźniak i Piotr Andrzejewski z Warszawy, Mirka — mec. Jacek Taylor z Gdańska, Władka — mec. Eligiusz Włodarczyk z Gdańska, Andrzeja B. — mec. Tadeusz Kiljan z Gdańska, Adama — mec. Przeciechowski z Lublina oraz Radka — adwokat z urzędu — mec. Świątalski pracujący w Elblągu. Prokuraturę Wojewódzką reprezentowali: Bogumił Tomczak z Elbląga i Wacław Matuszewski z Olsztyna. Przewodniczącym składu sędziowskiego był — sędzia penitencjarny — Alfons Wierzbicki.

Szczegółowy opis procesu internowanych przedstawił w swojej publikacji książkowej „Czekając na wyrok” mój starszy syn Marek. Nie będę więc wiele się na jego temat rozpisywała. Skorzystam jednak z tej okazji, żeby raz jeszcze podziękować wszystkim nam wówczas życzliwym osobom, a szczególnie: ks. prałatowi Mieczysławowi Józefczykowi, Ance Corze, Janinie i Ryszardowi Koziolom, Basi i Bogusiovi Szybalskim, Krysi i Adasiowi Golikom, Helenie i Tadekowi Chmielewskim, Marysi Smorowskiej, Ryškowi Walenczewskiemu, Jadzi Świerżewskiej i ukochanej mojej pani dr Marii Muchowicz. Proces zakończył się wyrokami skazującymi: Mirek i Zygmunt Goławski — 2 lata więzienia, Andrzej Bober i Adam Kozaczyński — 1,5 roku, Władysław Kołodziński — 1 rok, Radek Sarnicki — jeden rok w zawieszeniu, Andrzej Goławski został wyłączony z tej sprawy ze względu na stan zdrowia. Tuż po skazaniu, władze komunistyczne szykowały akt abolicji w związku z oczekiwaną w czerwcu Wizytą Apostolską Ojca św., internowani zostali wypuszczeni z więzienia.

Od razu po wyjściu z Aresztu Śledczego przy ul. Halickiej udaliśmy się wszyscy razem pod Pomnik Ofiar Grudnia 1970, a następnie do Kościoła św. Mikołaja, gdzie powitał ich ks. prałat M. Józefczyk oraz Lech Wałęsa. Zaraz potem miałam zaszczyt i przyjemność uściskać ich wszystkich w naszym domu przy ul. Huzarskiej — było to dla mnie prawdziwe święto.

Pomimo uwolnienia z więzienia zastosowano wobec skazanych, w tym wobec Mirka ścisły nadzór milicyjny. Już w święto Bożego Ciała fun. SB zatrzymali Mirka w drodze do kościoła — szedł na mszę św. i przetrzymali go aż do końca procesji. Wiceprezes Sądu Woj. w Elblągu — A. Pietraszewski, nie wyraził zgody na opuszczenie miasta w czerwcu 1983 r. Mirek i Elżbieta szykowali się na spotkanie z Ojcem św. w Warszawie.

Pomimo oficjalnej abolicji represje wobec syna nie zwały. W trzecią rocznicę sierpnia fun. SB zatrzymali go na ul. Mickiewicza, a w naszym mieszkaniu zrobili rewizję. Już po trzech miesiącach od dnia aresztowania zwolniono syna z pracy. Mirek chciał nadal działać i służyć Polsce, w Elblągu było to niemożliwe.

ROZDZIAŁ III

„Konspiracja”

Nie zdążyłam nacieszyć się moim najmłodszym synem Mirkiem — jesienią 1983 roku wyjechał z Elbląga. Szczegółowe instrukcje pozostawił Elżbiecie, która musiała przejąć na siebie rolę koordynatorki wszystkich przedsięwzięć związanych z kolportażem nielegalnej literatury i prasy. Funkcjonariusze SB po wyjeździe Mirka, nękał nas nieustannie. Franciszek miał już dosyć odgrywania roli potulnego baranka i oficjalnie, bez ceregieli zaczął okazywać im swoją niechęć. W marcu 1983 roku Elżbieta przeszła do pracy w Centralnej Wypożyczalni dla Młodzieży, gdzie jej bezpośrednią przełożoną była Maria Smorowska. Niezmiernie polubiłam panią Marysię i przeżyłam wstrząs kiedy dowiedziałam o jej udarze mózgu (7. 06. 1997 r.). Wiem, że i Elżbieta ceniła panią Smorowską, która nie poddała się naciskowi poprzedniego kierownictwa Woj. Bibl. Publ. w Elblągu, żeby ułatwić im formalności związane z ewentualnym wyrzuceniem jej z pracy. Jak mówi przysłowie: „Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie” — Marysia była i jest dotąd naszym prawdziwym przyjacielem.

Podobnie mogę powiedzieć o śp. Marii Muchowicz — niezawodny przyjaciel naszej rodziny, ceniona elbląska lekarka. Zmarła 24-go listopada 1998 r. — pozostawiła nam wiele dobrych wspomnień oraz tęsknotę, która wystarczy do końca życia.

Wiosną 1984 roku Halinka wraz z rodziną przeprowadziła się do własnego, od wielu lat oczekiwanego mieszkania. W domu przy ul. Huzarskiej zrobiło się luźniej — chociaż mieszkanie zapełniało się codziennie nowymi znajomymi. Brakowało mi szczególnie wnuczki Asi, Niusia opiekująca się nią — przyprowadzała ją często do mnie.

Jesienią 1984 roku Elżbieta rozpoczęła współpracę z Edmundem Krasowskim. Zajmował się on wówczas kolportażem Tyg. „Mazowsze”. Elżbieta poprzez Mirka związana była z tyg. NSZZ „S” Reg. Mazowsze, „Wiadomościami”, których redaktorem naczelnym był Antoni Macierewicz. Niezawodnym kurierem z Elbląga do Warszawy był Kazik Lachowski. 19-go października 1984 r. władze PRL w bestialski sposób zamordowały Ks. Jerzego Popiełuszkę. Elżbieta wraz z grupką elblążan wzięła udział w uroczystościach pogrzebowych, które odbyły się 3-go listopada na

Żoliborzu. Mirek zresztą też, ale informacje od syna docierały do mnie sporadycznie, głównie za pośrednictwem Elżbiety.

W Związku Sowieckim rozpoczęły się wyraźne zmiany, przynajmniej personalne, generalnym sekretarzem KPZR został wybrany M. Gorbaczow. Świat zachłystywał się tzw. „pieriestrojką”. Nie trzeba było być wielkim intelektualistą, żeby widzieć, że „ojczyzna” międzynarodowego komunizmu przeżywa poważny kryzys gospodarczy i że nie pozostaje już nic innego, jak zmiana dotychczasowej polityki.

Elżbieta napisała wówczas niepublikowany dotąd tekst, który lapidarnie i oryginalnie ilustruje ówczesną sytuację:

„Fasola, Gorbaczow i Bóg” 13.03.85 r., godz. 7.21

Ania wstaje z wersalki i idzie do pieca przy którym śpi babcia i leży fasola w łupinach. Joasia ma 6 lat i lubi pracować, zabiera się więc za łupanie fasoli. Ub-El słysząc szelest strączków wyłazi ze swojej kryjówki, prostuje postawę i biegnie w kierunku Asi. Jego nie interesuje łupanie fasoli, zabiera się więc za łupanie Asi — słysząc wrzask w całym domu. Ub-El ma dwa miesiące i swędzą go dziąsła, łupiąc Asię zaspakają swoją psią potrzebę łupienia. Do „akcji” wkracza babcia i systematycznie łupi Ub-Elę, który nie przerywa łupienia Asi, trzymającej strączek fasoli, gotowa go obłupić. Budzi się i we mnie pragnienie wzięcia udziału w łupieniu, najchętniej babci Asi — mojej mamy — gdyby nie fakt, że ona ma 60 lat i jest ode mnie starsza o całe trzy dziesiątki.

Tak więc wszyscy zaspokajają swoją naturalną potrzebę łupania, łupienia czegoś lub kogoś z moim wyjątkiem. Oczywiście odbije się to na moim zdrowiu, nie tylko psychicznym. Wniosek z tego zdarzenia wynika, że każdy łupie, łupi w życiu to lub tego, co lub kogo najbardziej lubi. I tak: Jaruzelski łupi naród polski, ponieważ nas kocha, Ub-El Asię z oczywistej sympatii. A ja w przypiływie największej czułości i miłości mam zamiar rozłupać swoją rodzinę i znajomych.

P. S.

Bo z narodem tak już jest, że go łupić trzeba fest — dla zdrowia. Łupanie, łupienie jest niezwykle prostą i skuteczną metodą zachowania zdrowia oraz wszelkiej równowagi stosowaną w całym wszechświecie. Oto przykład: Asia łupie fasolę, Asię łupi Ub-El, Ub-Elę babcia Asi, a ja mam zamiar rozłupać babcię Asi, mnie łupi Jaruzelski, jego złupi Gorbaczow, Gorbaczowa obłupi, jak to miało miejsce ostatnio z Czernienką, śmierć — czyli wszystko jest w rękach Boga”.

W kwietniu 1985 Elżbieta wspólnie z Edmundem Krasowskim rozpoczęła wydawanie Biuletynu Regionu Elbląskiego „Solidarność”. Pierwsze trzy numery były zrobione metodą powielaczową, słabej jakości technicznej — mieszkania do ich drukowania udostępniła Joanna Stasiak — bezpośrednia przełożona w pracy Halinki. Twórcy Biuletynu nie byli zadowoleni z jakości, w związku z tym Elżbieta ujawniła Edmundowi kontakt z Mirkiem. Od numeru czwartego BRE „Solidarność” był robiony sitodrukiem — nadawał się do czytania. W piątą rocznicę Sierpnia uroczystości z nią związane nabierały rozmachu. Oprócz okolicznościowej mszy św. w intencji Ojczyzny odprawionej w kościele św. Mikołaja, liczniejsze niż w 1984 r. grono ludzi udało się pod Pomnik Ofiar Grudnia 1970. W pobliżu świątyni rozbrzmiał fragment homilii ks. Jerzego Popiełuszki. Elbląscy funkcjonariusze SB dostali przyspieszenia. Śledztwo

Wraz z całą rodziną byłam przeciwniczką mistyfikacji przy okrągłym stole. Nasz stan ducha i umysłu najlepiej zilustruję odwołując się do zapisu Elżbiety: „*Taniec wariata*” — zakończenie obrad „okrągłego stołu” 5.04.1989 r.

Trwa przerwa po przemówieniach gen. Czesława Kiszczaka i Lecha Wałęsy. Pogoda jakiej nie lubię — wieje silny wiatr. — Ale wiatr, jakby się ktoś powiesił — mruczy mama. Smutno nam jak na pogrzebie. Mamy wrażenie, że oto definitywnie pogrzebano naszą „Solidarność”. Atrapa „Solidarności” (grupy Geremka — Kuronia — Wałęsy) cuchnie trupem. Przerwa miała trwać 15 minut, przeciągnęła się do pięćdziesięciu. Nasz smutek potęguje Vivaldi z telewizora, wycie wiatru dochodzące zza okna — oprawa godna stypy.

Prawdziwie uszczęśliwiony wydał mi się Kiszczak, w czasie przemówienia był rozluźniony, nie ukrywał satysfakcji. Wałęsa był spięty, sztywny, jakby zdrętwiał. Trwa przerwa. Matka wyszła do kuchni, nie może usiedzieć na miejscu. Wygląd stołu skojarzył jej się z tortem. Pomyślałam, że ten tort może okazać się gorzki w smaku. O godz. 18.50 redaktor Tumanowicz zakomunikował, że nie zna przyczyny przedłużającej się przerwy i zaprosił widzów do dalszego słuchania muzyki. Instrumentem przewodnim jest wiolonczela — chyba się rozplącę. Mam wrażenie, że odbywa się przedziwny spektakl, który można porównać do tańca wariata nad własnym grobem. Nie chcę brać w nim udziału. Mama „działa” w kuchni — smaży naleśniki i sama z sobą gada.

Przed kilkoma minutami wróciła z pracy Nusia — razem z matką jedzą naleśniki.

— Dzisiaj facet w sklepie rybnym obciął sobie palec. Wszedł za mną, drzwi się zatrzasnęły i odcięty mu palec — opowiada z przejęciem Nusia. Mężczyzna był starszy, zachowywał się bardzo spokojnie, usiadł na krześle i zażartował. Zastygłam w miejscu z przerażenia, jakaś kobieta podniosła odcięty palec, wezwano pogotowie. Czuję, jak dostają gęsiej skórki, „flaki podchodzą mi do gardła”. Moment konsternacji”.

— Deszcz pada, zmienia temat matka. Z mojego miejsca widzę wierzchołek kolebiącej się gruszy.

— Sukinsyny — mruczy mama i znowu idzie do kuchni. Nie może wytrzymać na miejscu, kochała naszą „Solidarność”, ma żal do Wałęsy, że podjął się roli jej grabarza.

— Rzępolą, że aż głowa puchnie — syczy Nusia i smutno patrzy przez okno. O godz. 19.10 ponownie powrócono na salę obrad, znowu oddano głos do studia centralnego, z którego przez kilka minut pokazują planszę z napisem: „tp”.

Nusia z mamą wymieniają uwagi na temat firan. Zasadnicza różnica zdań dotyczy ich rozmiarów.

— Trzy metry wystarczą — kategorycznie stwierdza matka.

— Pięć — syczy Niucha.

Po kilku minutach pokazywania planszy prezenterka zapowiada program dyskusyjny na temat urynkwienia gospodarki żywnościowej.

— Trzy metry — wrzeszczy Nusia, mierząc okiennice. Matka nie jest nadal zadowolona, teraz ze sposobu pomiaru.

Nasza kotka Mania, z ogromnym zainteresowaniem, przygląda się obu kobi-

w sprawie uroczystości sierpniowych oraz wychodzącego Biuletynu zaowocowało licznymi zatrzymaniami i aresztowaniami. We wrześniu aresztowano Andrzeja Dębskiego, w mieszkaniu którego znaleziono m. in. matrycę z numerem 9 BRE „S”. Niedługo po nim aresztowano Ryszarda Stolarowicza. Na skutek ich zeznań dokonano następnych aresztowań, w tym Edmunda Krasowskiego.

Po aresztowaniu Edzia, Elżbieta postanowiła, że zrobi wszystko, żeby zachować ciągłość wydawniczą BRE „Solidarność”. Z pomocą pospieszył jej Mirek i Leszek Koszytkowski. Serce mi się krajało z bólu, kiedy patrzyłam na Elżbietę zmagającą się ze wszystkimi przeciwnościami. Efekty jej pracy były takie, że Biuletyn ukazywał się nadal, gablotka usytuowana w kościele św. Mikołaja, tuż przy portrecie ks. Jerzego, zawierała świeże materiały, w tym o aresztowaniu i proteście głodowym E. Krasowskiego i pani A. Romanowskiej z Warszawy. Elżbieta pracowała zawodowo i to w godzinach dogodnych, ale dla czytelników — do godz. 18.00. Nieraz jej mówiłam, żeby więcej myślała o sobie, inaczej zapadnie na jakąś poważną chorobę. Niestety zazwyczaj chodzą parami, a w naszym przypadku conajmniej trójkami. Mąż zaczął w oczach mizernieć, chodził wprawdzie do lekarza, ale bez efektu. Na początku 1986 roku poważnie zaniemógł — miał problemy z jedzeniem, bolał go brzuch, kilka razy wzywaliśmy pogotowie. Po kilku dniach, ponownie wezwany lekarz postanowił zabrać Franciszka do szpitala. W szpitalu postanowiono diagnozę i zoperowano Franciszka na przepuklinę. Po operacji czuł się na tyle dobrze, że wyszedł sam na korytarz. W Elblągu panowała wówczas paskudna odmiana grypy — powaliła nas wszystkich, oprócz Elżbiety. Była u Ojca w szpitalu i wróciła nieco uspokojona. W ciągu kilku dni stan zdrowia Franka zdecydowanie się pogorszył. W czasie naszych odwiedzin w szpitalu doszło do zapaści. Kilka dni trzymali męża na intensywnej terapii. Franciszek pragnął wrócić do naszego domu. Elżbieta podjęła decyzję, że bez względu na wszystko zabierze ojca do domu. 14-go lutego wraz z Isią Smorowską pojechały do szpitala. Franek jeszcze żył — czekanie na karetkę trwało długo — zmarł około południa tego samego dnia na łóżku szpitalnym, w obecności Marka, opatrzony przedtem świętymi sakramentami.

Krzętanina związana z pogrzebem wymaga koncentracji, odciąga nieco myśli od tego najważniejszego faktu. 19-go lutego — w pierwszy piątek postu — odbył się pogrzeb Franciszka na cmentarzu Dębica. Mszę św. żałobną odprawił ks. prałat Mieczysław Józefczyk. Elżbieta po śmierci ojca przez kilka dni trwała w odrętwieniu — nie powiadomiła Mirka.

Tuż po pogrzebie tajne i widne służby ochrony PRL nachodziły nasz dom w poszukiwaniu najmłodszego syna. Najpierw dwukrotnie przysłano żołnierza z kartą mobilizacyjną, z jakimiś rozkazami. Potem zameldował się dzielnicowy w asyście funkcjonariusza ORMÓ — chciał rozmawiać ze mną. Elżbieta nie wyraziła na to zgody. Czułam się coraz gorzej — w końcu dzięki interwencji pani dr Marii Muchowicz przyjęto mnie do szpitala, na oddział kardiologiczny. Po wyjściu ze szpitala poczułam się lepiej, mogłam więc zająć się naszym ogrodem.

W lipcu 1986 roku wyszedł z więzienia Edmund Krasowski — byliśmy na jego powitaniu. W sierpniu okazało się, że Elżbieta jest chora na gruźlicę i wymaga długotrwałego leczenia. We wrześniu, po interwencji pani M. Muchowicz wyjechała do szpitala w Prabutach.

etom manipulującym przy oknie, gotowa w każdej chwili wziąć czynny udział w tym ekscytującym ją zajęciu.

Skończył się program o rolnictwie, znowu pokazują planszę. Mama i Nusia kończą temat firan — cena za jedną wyniesie 9 tys. zł., firana będzie nylonowa.

Zaczyna się dziennik telewizyjny. Najpierw podają wiadomości ze świata: „M. Gorbaczow w Hawanie” — brzmi jak tytuł kryminału. Dalej następuje relacja z zakończenia obrad „okrągłego stołu”, fragment przemówienia gen. Cz. Kiszczaka: „... można rządzić po staremu. Natwne przekonanie, że wszystko można zacząć od nowa”. Słowa wypowiedziane przez generała MSW PRL powodują, że niewygodnie mi się robi w fotelu, cierpną pośladki.

— Skończ już — postukuje pod adresem Cz. Kiszczaka matka i sięga po szklanekę z herbatą.

Po generale przemawia Wałęsa, mówi o krasnoludkach i o świadomości ludzi systemu.

— Ty też się zamknij, wydaje dalsze polecenia mama, która nigdy nie przepadała za przewodniczącym.

Kotka wskoczyła na szafę, usytuowaną za moimi plecami i spoglądała na mnie z góry. Wyraz jej mordki wskazuje na wyższe wtajemniczenie, patrzy na mnie z politowaniem i ironią. Nie cofam swego spojrzenia i Mania nieco spuszcza z tonu. Zeskakuje z szafy, godnym truchtem przemieszcza się w kierunku kuchni.

W telewizorze poseł E. Szymański mówi o zmianach do Konstytucji PRL, o uprawnieniach prezydenta i o trybie wyłonienia prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe. Myślę, że wiem już kto zostanie prezydentem — twórca stanu wojennego, „czcigodny” Wojciech Jaruzelski. Poczulałam młodość, przypomniałam sobie, że dzisiaj nic jeszcze nie jadłam. Poszłam do kuchni, lodówka świeci pustkami, z zamrażalnika wyjmuję trzy kostki lodów „Calypso” i wracam do pokoju.

Już po dzienniku, czuję narastający gniew — boję się, żebym nie pękła. Za oknem słychać tłukący po szybach grad.

W telewizorze program z cyklu „Raport”, pokazują relację ze spotkania M. Thatcher z M. Gorbaczowem.

O godz. 20.45 wznawiają obrady. Gen. Cz. Kiszczak informuje, że ze względów proceduralnych przeciągnęła się przerwa, oddaje głos Bronisławowi Geremkowi. Geremek obarcza winą za przewlekłą przerwę Alfreda Miodowicza.

Nie słucham Miodowicza, wychodzę do kuchni, odkręcam kurek — leci letnia, letnia woda. Biorę odrobinę waty, filtruję ją, nalewam do szklanki, piję — jest mi dobrze. Chwilę stoję przy oknie, wycieram oczy; wracam do pokoju. Słyszę informację, że kibice z niecierpliwością, czekają na mecz piłki nożnej. Dalszy ciąg z zakończenia obrad „okrągłego stołu” zostanie przekazany po meczu. Wstaję z fotela, dmie nogi — sztywno idę do mojego pokoju. Kładę się na wersalce — jest mi smutno.

W ósmą rocznicę Sierpnia Monika i Mirek zaprosili nas na swój ślub. Uroczystość odbyła się w Kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu w Warszawie. W dniu ślubu małżeństwa udzielił im ksiądz Stanisław Małkowski.

22-go grudnia 1992 roku przeżyłam udar mózgu, pozostał mi niedowład lewostronny.

16-go czerwca 1994 roku przyszła na świat córeczka Moniki i Mirka — Dorotka. Nie dane jest mi nacieszyć się nią, rzadko mnie odwiedzają. Mirek z żoną i córką mieszkają w Izabelinie. Ja wraz z Niusią i Elżbietą żyjemy bez zmian — w Elblągu przy ul. Huzarskiej, w gnieździe „Solidarności”, jak powiedziała Anna Walentyłowicz, będąc w naszym domu w 1988 roku. Wdzięczna jestem Panu Bogu za istnienie „Radia Maryja”, które towarzyszy mi każdego dnia. Nadal jestem towarzyską, lubię ludzi, ale najbardziej cieszę się z cotygodniowych odwiedzin kleryków i comiesięcznych księży przynoszących mi Pana Jezusa.

Zamiast zakończenia

Urodziłam się 11 listopada 1923 roku w Siekierce na Sokólszczyźnie. Z perspektywy 75-lat życia widzę wyraźnie cały ten okres. To prawda, że przed II wojną światową bywało ciężko, żyliśmy skromnie. Nic w życiu, jak powiada ks. Mieczysław Nowak, nie dzieje się przypadkiem. Wiem to z doświadczenia. Człowiek w zależności od modlitwy i wiary może być narzędziem Boga albo — szatana, jeśli Boga zastąpi człowiekiem i jego teorią.

Od prawie siedmiu lat, w 1992 roku przeżyłam udar mózgu, nie wychodzę z domu. Mam więc dużo czasu, żeby całe swoje życie podsumować i rozliczyć się z niego. Muszę przyznać, że nie obrzydło mi ono dotąd — Kocham je i dziękuję Panu Bogu za każdy dzień i każdą noc. Proszę Go o więcej, szczególnie często modlę się do Ducha św., żeby ten dany mi na ziemi czas trwał jak najdłużej.

Do Elbląga przyjechałam w 1946 roku. Tu poznałam Franciszka i tu urodziłam pięcioro dzieci. Nie powiem, że ponad pięćdziesiąt lat życia spędziłam w Elblągu z czystego przypadku — tak miało być. Muszę jednak przyznać się do tego, że o wiele bardziej Kocham swoje rodzinne strony. Nie ma dnia, żebym za nimi nie tęskniła.

W Siekierce przeżyłam pierwszych kilkanaście lat, potem byłam na przymusowych robotach w III Rzeszy Niemieckiej, głównie w pobliżu Królewca, a w Elblągu żyję do tej pory — najstarszy syn Marek skończył w ub. roku 50 lat. Franciszek od kiedy go poznałam i potem, kiedy dzieci już podrosły, obiecywał nam, że wyjedziemy na stałe do Królewca — nic z tego nie wyszło. Myślę więc, że może dlatego nasze dzieci i być może wnuki nie do końca identyfikują się z Elblągiem. A może też dlatego, że to nasze miasto jest troszeczkę zakompleksione — bez elit politycznych, z wąską grupką intelektualistów pozbawionych „kręgosłupa moralnego” — służącymi zawsze tym co są aktualnie przy „korytku”.

Jeszcze w 1970 roku i w stanie wojennym robotnicy i młodzi ludzie wnosili w Elblągu nieco ożywczego ducha. Od kilku ładnych lat, kiedy to po „okrągłym stole” inkonjonariusze PRL wraz z lewicą „Solidarności” są beneficjentami zachodzących zmian, a oni zostali bez pracy lub wegetują na nędznych zasiłkach, rentach, emeryturach. W naszym mieście panuje zastój, Elbląg nie zdołał jeszcze zrzucić z siebie